



Dwie tajemnice

— A dziś w co?

— Dziś w pogróż do Ameryki. (Franś zamiast d mówi twardo g). Statek już jest, bilety są, czapka marynarska gła oficera też — jedziemy. Pójdiesz z nami Hanusiu?

— A czy mogę wziąć moje lalki?

— Które?

— No — Murzynka, bo tam ciepło, Dzi-dziusia, bo ciągle mojej opieki potrzebuje i Barbarę, bo najstarsza. A nie utopimy się?

— Nic się nie bój, śmiało wsiadaj, ja okręt prowadzę.

Mały Franio podaje rękę Hanusi i wsiadza ją wraz z trzema lalkami na statek.

Statek? Duży, szeroki cebrzyk, który stoi już przy brzegu dołu napełnionego wodą, gdzie murarze gasili wapno.

— Czy do Ameryki weźmiemy Marysunię?

— Nie. Ona jest na drugim brzegu i czeka na nas w Ameryce. Marysiu! Witaj nas, my już przyjeżdżamy!

Cebrzyk odepchnięty mocnym kijem od jednego brzegu, przyplływa do drugiego.

— Jak się macie? Zdrowo przebyliście podróż? Chodźmy teraz do laski.

— Chodźmy, ale cichuteńko — proponuje Hanusia — może nam się uda podpatrzeć „tajemnicę” chłopców.

— Ja już ich długo pogpatrywałem,

ale ten Boguś i Adaś tak się kryją, że nigdy „tajemniczy” nie znalazłem.

— Wiecie co? Zrobimy sobie swoją „tajemnicę”. Wyszukamy kącik w gestych krzakach, żeby wejścia nie było widać, wpełniemy tam i urządzimy sobie morową kryjówkę.

Szukali, szukali aż znaleźli. Śliczny zakątek wśród pachnących krzewów, zupełnie jak maleńki pokoiczek, mchem wyszielony zielonym.

— Patrziel! Poziomki tu są — ale nie zrywajmy, niech się rozmnożą w naszej „tajemnicy”.

Usiadły dzieci cichutko i rozglądają się dokoła. Co to? Co tak piszczy na gałązce tuż, tuż nad główką Marysi? Gniazdeczko! Prawdziwe gniazdko i pisklęta w nim z główkami w górę zadartymi. Dziobki otwarte i tak piszczą! A mamusia, czy tatuś lata nad tą gromadką pełen niepokoju, bo dojrzał małych ludzi poniżej.

— Ach Boże! Gniazdko pełne żywych piskląt. To dopiero „tajemnica”, tego to już naprawdę nie można zdradzić nikomu.

Szeptem porozumiewają się dzieci, żeby jeszcze więcej nie przestraszyć ptaszyn. Może się oswoją, może się do nas przyzwyczajają?

— A chłopcy tacy dumni, że w ich „tajemnicy” jest nora lisa.

Wejście do nory — ślad wejścia — poprawia Franuś — a u nas prawdziwe gniazdko!

— A dziś w co?

Dzieci już w mieście, zima białna i słotna, trzeba się bawić w mieszkaniu. Wspominają lato, zabawy, „tajemnicę”.

— Te ptaszki pewnie odleciały do Ameryki. Czy przylecą znowu na lato?

A jak ja pytałam mamusi — mówi Marysunia — czy mi co św. Mikołaj przyniesie, to mamusia powiedziała: to tajemnica... zobaczysz za trzy dni. I ja mamusi powiedziałam, że „tajemnica”, przecież jest w Dąbrówce że my mamy swoją, a chłopcy swoją. Czy św. Mikołaj ma też swoją? Ale nie zdradziłam, gdzie jest nasza.

— Mamusia też ci nie zdradzi tajemnicy mikołajowej — tłumaczy Hania —

Bo to jest jeszcze więcej skryta rzecz, jaE nasz kącik w lesie.

Nie rozumie tego wszystkiego dobrze Marysunia bo ma dopiero pięć lat. Ale przymyka oczki i wyobraża sobie, że gdzieś daleko w lesie jest śliczna, ogromna „tajemnica”. Nie taka zielona, jak latem, ale śnieżno-biała, cała skrząca, a w środku... cuda, cudenka! Wory pełne, jablek, orzechów, pierniczków, fig i daktyli, stopy zabawek przeróżnych. Siedzi tam siwobrody Mikołaj, aniołki uwijają się dokoła i wybierają: to lalkę, to wózek, to zwierzątko jakieś, pakują paczuszki, składają na saneczki i rośnie ich góra.

— Która też dla mnie? — myśli Marysunia. Och, żeby to wiedzieć, gdzie jest Mikołajowa „tajemnica”.
L. G.

O Jasiu i pajacu

Noc była mroźna, kiedy święty Mikołaj szedł rażno szeroką, większą drogą pomiędzy dwoma rzędami chałup. Spieszyło mu się do dworu, gdzie miał jeszcze tego wieczora przynieść dzieciom zabawki, a dźwięczał tego drobiazgu pełen kosz.

Wielki, kudłaty niedźwiedź był przeznaczony dla małego Wicusia, co mu się nie bardzo uśmiechało, bo wiedział z góry, że będzie miał zawsze usłinionie uszy i wydłubywane oczy. Lalka chwaliła się, że Zosia już od dawna uszyła dla niej całą wyprawę i na samą myśl jak się będzie stroiła — zadzierała swój i tak zadarty nosek. Ale długi, biały pajac w sztywnej kryzie i spiczastej czapce z dzwonczkami był po prostu w rozpacy, wiadomo było bowiem, iż przeznaczony jest dla Adasia, który zawsze zaraz po otrzymaniu nowego pajaca rozprawał mu szczyrykiem brzuszek, żeby zobaczyć „co tam było w środku”.

— Prrrr... i już sypią się trociny z brzuszka.

— Co się będziesz narażał na taką nieprzyjemność — tłumaczył pajacowi szary, sukienny zajac, przeznaczony dla grzecznej Muszki. — Wiej póki masz cały brzuch i zdrowe nogi

Pajac wytknął długi nos z kosza, ale móż uszczyptał go w sam jego koniuszek tak mocno, że czym prędzej schował go z powrotem

— Brrr. Zimno!

— Fajtlapa! — powiedziała duża celoidowa, zielona żaba. — Będzie ci bardziej zimno leżeć na śmietniku z wypatroszonym brzuszkiem.

— To prawda — przyznał pajac skrobiąc się za uchem.

— Masz mój muslinowy szal — powiedziała dobrotnie lalka. — Zawsze będzie ci trochę cieplej. Ja i tak zaraz dostanę nowe, piękne stroje.

Pajac określił sobie szalem szyję i wygramoliwszy się na krawędź kosza, odbił się od niej co sił i — kroczył w mroczną otchłań.

Zanim głazył krzyknąć „Aj!” — już leżał zagrzebany z głową w miękkim, białym puchu. Nasypało mu się zimnego śniegu za karkiem i w uszy, i nawet w dziurki od nosa. Ale co tam! Grunt że był wolny i nie groziła już mu operacja brzuszka.

Podniósł się teraz pajac i rozejrzał w okolo. Tuż za pobliskim płotem stała chałupa, a z małego okienka wesoło błyskało światło.

— Trzeba zobaczyć kto tu mieszka? — pomyślał sobie i nuż gramolić się za obejście i do okna. Odsunął gałązkę gruszy, co prawie dotykała szybi i spojrział. W izbie siedziało dwoje ludzi: młody jeszcze chłop i wesoła, rumiana kobieta z małym chłopczkiem na kolanach.

— A ty cobyś chciał Jasiu od Świętego Mikołaja dostać?

— Ja? — uśmiechnął się zagadkowo młodec. — Ja tobym chciał mieć takiego pajaca, jak to w sklepie, w mieście wi-
działem...

W tej chwili puknęło coś w okienko.

— Ociec! A wyjrzyjno na podwórko. Widzi mi sie, że coś puka w szybel!

— Grusza bije w okno gałęziami!

— Wyjrzyj ano! Może złodzieje som o obejściu!

— Bukiet! Pódzi do nogi! — Chłop gwizdnął na psa.

Skrzypnęły drzwi. Wyszli.

— Szukaj! — poszczuł chłop.

Nim pajac zdążył odskoczyć od okna, świat go już gorący dech, błysnęły mu przed oczami białe kły i szarpnięty gwałtownie potoczył się na ziemię.

— Żegnaj miły świecie! — przemknęło przez myśl biednemu pajacowi. Zebrawszy wszystkie siły krzyknął „Aj!” i kłasnął psu tuż przed mordą mosiężnymi blachami. Bukiet odskoczył w tył jak oparzony.

— A co ty tam masz — krzyknął chłop. — Pokaż jenol — i schylił się świecęć la-
tarnią.

— Mój pajac! — krzyknął głośno Jaś, który wyskoczył z izby za ojcem. Tatulu dajcie mi go! Dajcie!

— Hale! — rzekł chłop. — Musi go państwo zgubili na gościńcu z miasta wracając, a Bukiet przytaskał go pod chałupę. Trza go zaro odnieść do dworu. O-
dziejsie matka!

— Pude z mamą — rzekł z cichym westchnieniem Jasio.

Za chwilę szły już oboje gościńcem.

prosto do dworu. Jaś przyciskał mocno pod kożuszkim w zanadru schowanego pajaca.

Kiedy przyszli, zaraz wzięła ich do pokoju dziewczeczka, przybiegły i dzieci.

— A to ten pajac co go miałem dostać! — zawołał Adaś. — Dobrze Jasiu, że mi go odniosłeś, zaraz zobaczę co on ma w brzuszku! — i podskoczył tak gwałtownie, że potknął się o rozłożoną na podłodze niedźwiedzią skórę i zatoczył się prosto w kominie, na którym tegim ogniem buzo-
wały się klody smolnego drzewa.

— O Jezul! Adaś się pali! — wrzasnął nieludzko Jaś i zanim się kto spostrzegł rzucił się ku chłopcu, gwałtownym wyrzutem ramion odbijając go w przeciwną stronę.

Ale włochaty sweterek na Adasiu już się zapalił, więc Jaś nie dbając o nic przewrócił chłopca na ziemię i kulał się razem z nim dopóki ognia nie zduśił.

— Mój Jasiu kochany! — z płaczem tuliła go za chwilę dziewczeczka. — Uratowałeś mi synka. Dam ci wszystko co chcesz! Powiedz tylko!

— Takbym chciał mieć tego pajaca... — westchnął Jaś.

Była cicha, cudnie gwiazdami wyiskrzona noc, kiedy matka z Jasiem wracali do domu. Jaś miał wszystkie kieszenie wypchane słodyczami, ale największa słodycz napęlała mu serce, do którego tulił cudownie ocalałego po tyłu przygodach — białego pajaca.

Hanna Karwowska

Dzieci z Daugawpilsu!

2-go stycznia w Domu Polskim wystawiają wielkie

widowisko Bożenarodzeniowe p. t.



Szopka

Będzie to widowisko kukielkowe oparte na zwyczajach ludowych. Zobaczycie tam Rodzinę świętą, Trzech Króli, chłopków kolendujących, Dzieciąteczka, Babę Jagę, diabła, żydka i wiele wiele innych lalek. Wszystkie dzieci 2-go stycznia na przedstawienie.



W senne bory, w knieje pod śniegiem drzemiące
wpadły echa trąbek po drzewach tętniące.
Pyza śpiąca obok niedźwiedziska w norze
otworzyła oczy: — Co za hałas w borze? —



A to były wielkie łowy, polskie łowy na
dzikiego zwierza;
Trąbi trąbka, huk wystrzałów w
powietrze uderzał
Idą idą w bór myśliwi, piosenki śpiewają,
A Pyzula wraz z niedźwiedziem w
gąszcze uciekają.



Miga Pyza sukieneczka po bieluchnym śniegu,
aż ją ujrzał pan myśliwy stojący w szeregu.
— Hej myśliwi! Spójrzcie jeno! Tam,
gdzie leśna steczka
miga przy bielutkim śniegu krasna sukieneczka!

Jak Pyza



— Toć tam biegnie Pyza, Pyza,
towarzyszu mój!
Puszczaj charty ze smyczą,
niech Pyzulę pochwyć
towarzyszu mój! Towarzyszu mój!

Wielcy ludzie

Jak Henryczek chci

Mały sześćioletni Henryczek siedzi
przy stoliku z ukrytą twarzączką w rącz-
kach i rzewnie płacze. Przed nim leży
główek i kawałek papieru, na którym wi-
dać jakieś kreski czy kółka.

— Cóż ci się stało, Henryczku? — za-
pytała wchodząc do pokoju pani Stefania,
Sienkiewiczowa.

Lecz chłopczka nie odpowiedział, tyl-
ko jeszcze bardziej się rozplakał. Jednak
gdy matka wzięła go na kolana, pytając
a powód płaczu, opowiedział jej wszystko,
pokazując jednocześnie arkusz papieru,
pokryty krzywymi kreskami i kółkami.
Okazało się, chłopiec chciał narysować
rycerza, grubego z długim wąsem w zbroi
i szablą przy boku, a zamiast niego wy-
chłodził na papierze jakieś niezgrabne
kreski.

Pani Sienkiewiczowa pogładziła go po
zaplakanej twarzączce, pocieszając rów-
nocześnie, że gdy dorosnie potrafi narv-

wędrowała



Złapał charcik Pyzę, Pyzę za sukienki
brzeg!

Przyniósł Pyzę leciutko,
do myśliwych bliźutko,
na mięciutki śnieg. Na mięciutki śnieg...

ał rysować rycerza

sować nie tylko jednego rycerza ale cały ich regiment. Chłopca pocieszyły nieco te słowa, postanowił zostać wielkim malarzem i malować samych rycerzy, w zbrojach z szablami przy boku.

Marzenia jego się spełniły: Tylko że nie malował swych rycerzy pędzlem, lecz piórem w swych ślicznych powieściach. Bowiem tym chłopczykiem był znakomity nasz powieściopisarz Henryk Sienkiewicz, który trylogią zyskał sobie sławę na całym świecie. Książki jego tłumaczone były na obce języki i zapoznawały inne narody rycerską przeszłością mężnego narodu polskiego. Oprócz Trylogii napisał inne piękne powieści jak „Krzyżacy”. „W pustyni i puszczy” oraz dużo ślicznych nowel. Za powieść pt. „Quo vadis” zyskał największe uznanie świata naukowego, nagrodę Nobla. Zmarł w Szwajcarii w 1916 r. nie doczekawszy się już wskrzeszenia ojczyzny.

Gabriela Klimkówna



... a ci myśliwi, a ci myśliwi przy
kocioleczku siedzieli,
Bigos warzyli, w łyżki brząkali, a z Pyzą
się śmieli.
— Miła Pyzulo opowiedz-że nam swój
żywot żwawy,
a potem pojedź z nami do pięknej,
wielkiej Warszawy.



Jedzie Pyza jedzie na myśliwskich saniach,
jedzie do Warszawy, koniki pogania.
Na warszawskich dachach leży biały śnieg,
Srebrzy się od lodu nadwiślański brzeg.



Wielkie wieże fary sięgają do chmur,
a na Starym Rynku śpiewa dzieci chór,
a na rynku stoi teatrzyk kukielkowy
polyskują lampki światłem kolorowym.

O Skrzaciku — Wędrowniczku

(Zakończenie)



Przy świetle zapalonego łuczywa rozpoczęła się gonitwa. Naprawdę Skrzacik szukał kryjówki biegając w około wieży. Mur był gładki jak ściana. Potknął się raz i drugi. W ostatniej chwili, gdy grube ręce żołdaka już miały pochwycić uciekającego, Skrzacik znalazł szparę między kamieniami, w którą wcisnął się szybko z wielkim trudem. Dyszał ciężko ze zmęczenia, ciesząc się z chwilowego bezpieczeństwa. Wyjrzał ostrożnie na dół, gdzie w mroku nocy płonęły obozowe ogniska. Strażnicy z krzykiem i śmiechem podważali kamienie aby dostać małego zbiega.

— Teraz już się nie wygrzebie, powiedział Skrzacik półgłosem.

W tej chwili poczuł dotknięcie kosmatej łapki. Obejrzał się szybko.

— Nie bój się Skrzaciku, ja cię uratuję — powiedział duży pająk, który ze swego ukrycia widział całą przgrodę. Przywoławszy do pomocy swoich towarzyszy, zaczęły snuć szybko mocną nić, po której Skrzacik poczuł powoli spuszczać się na ziemię.

Tymczasem w obozie zauważono nieobecność Skrzacika i Myszko zarządził poszukiwania. Przetrasnął każdy kąt lecz bezskutecznie.

Była już późna noc, gdy do ogni-

ska, przy którym siedziała starszyzna, zbliżył się Skrzacik. Był bardzo zmęczony.

— Gdzieś był przyjacielu — zawołał uradowany Myszko — myślałem, że ci się coś złego przytrafiło.

— Byłem na stolbie — odpowiedział Skrzacik, —

— Powiadaj nam jakżeś się tam dostał i cóżeś tam widział — wołali zebrani.

— Na wieży głód — rzekł Skrzacik — chleba nie mają i w studni woda zatechła. Długo nie będą się bronić. —

Słowa Skrzacika okazały się prorocze. Zaledwie upłynęło kilka dni, — jak wieża została zdobyta. Z grodu Pepekka został tylko stolb. Pepek i Brünhilda zginęli. Ale nasz Skrzacik miał dosyć wojny, nie czekając końca oblężenia wybrał się w drogę. Zapragnął ciszy i spokoju.

W rodzinnych stronach Skrzacika, na zielonej łące panował wielki ruch. Po długiej nieobecności powrócił Skrzacik. A co dziwów i cudów naopowiadał. Słuchał go cały las: króliki, zajączki, ptaki i owady, a wszyscy podziwiali naszego bohatera. Bal trwał trzy dni. I na nim byłem, miód i wino piłem, po brodzie mi ciepło, a w buzi nie było. **KONIEC**



Jak wiewiórka Cornula Wawrzusia poratowała

Od pierwszego dnia po przyjeździe na wieś — przyjaźń na wieki, ształa po prostu — złączyła Władka, Lusia i Wikтусia z góralczykiem Wawrzusiem. Bo tego roku wszyscy trzej chłopcy — przyjaciela z trzeciego oddziału szkoły powszechnej pojechali na wakacje daleko — aż pod granicę południową Polski, na której, jak straż, stoją wysokie, dzikie — nieraz śniegiem w lecie nawet, przysypane góry.

Wawruś patrzył z początku na tych „panów“ z miasta podejrzliwie. Ale kiedy gruby Władek pozwolił mu spróbować trochę pojeździć na swoim, prawdziwym „kółku“ — tak nazywali tam rower — Wawruś poznał się od razu na dobrym sercu Władka. Zaraz też po południu pojechali razem w pole. A nawet Wawrzek pozwolił Władkowi trochę powozić Kubą — koniem, był taki mądry, że chodził za Wawrzusiem jak pies i chleb mu z ręki jadł. W ogóle ten Wawrzek, to niby biedny góralczyk był i też z trzeciego oddziału — ale ileż to on bogactw miał i czego nie umiał? Gołębi aż sześć hodował sobie sam, a każdego znał po imieniu. Gołębnik sam wystrugał z deseczek, a narzędzia jakie do tego miał! Chłopcy mieli co oglądać od rana do wieczora. Dziesięć owiec wędrowało za Wawrzusiem na pastwisko i dwie krowy z cielakiem, za którym tak się komicznie uganiało po łące. Tę zabawę to najlepiej lubiał Luś — a nakrzyczał się przy tym — a cielakowi nadokuczał — aż mama — krowa ryknęła nieraz z oburzeniem.

Największym jednak skarbem Wawrzusia, z którym się z początku nawet krył trochę przed przyjaciółmi — była wiewiórka. „Cornula“ nazywał ją Wawruś, bo była czarna. jakby z komina wyłazła a nie ruda, jak te wiewiórki z dolin. W dzień biegła po tych kilku świerkach, co stały za domem, na skraju lasu — ale niech tylko w zmierzchu Wawruś zawołał „Cornula“ — a jeszcze orzechy na dloni pokazał — już skądś z drzewa jednym susem, jak strzała powietrze przecięła — i siedziała chłopcu na ramieniu lub na głowie. Kiedyś Wawrzek obronił tę wiewiórkę przed złymi chłopakami, wyleczył rany, które jej zadali i tak już przy nim została. Puszczal ją potem nawet na swobodę, ale zawsze na noc i na

każde zawołanie wracała do swego zbawcy. Z chłopców najczęściej „Cornule“ polubił Wiktus — którego przyjaciele czasem „Wiktusią“ nazywali, bo był taki delikatny i zawsze czysto ubrany. On to właśnie — a nie kto inny — zaproponował, aby zabrać „Cornulę“ na wielką wyprawę, na którą się chłopcy z Wawrzusiem wybrali.

Trudno było trochę uzyskać od starszych pozwolenie na tę wyprawę, bo to była wyprawa z nocowaniem w szalasie. Ale Wawruś był taki roztopny chłopiec i tak obiecał opiekować się przyjaciółmi, że pozwolenie uzyskali.

Rano więc, skoro świt zabrali chłopcy jedzenie do kieszeni — a Wawruś „Cornulę“ pod pazuchę — kije do ręki i wygnali owce z owczarni — i w drogę. Trzeba było je odprowadzić do takiego „bacy“, który zbierał owce z całej wsi i pasł je przez całe lato na pokrytej piękną, soczystą trawą „hali“, położonej wyżej, w górach. Pół dnia trzeba tam było iść. Drogę Wawruś znał doskonale, choć kręciła się po lesie i krzyżowała z innymi, jak ulice w mieście, ale bez napisów. Przyszli na halę po południu. Owce przyłączyły się zaraz do innych, a chłopcy zjadli swój posiłek uganiai po lesie aż do zmroku. Na wieczór pomogli „bacy“ zgonić owce do stajenek, które, jak dom dla lalek, poustawiane były na hali. Sami zaś zmęczeni po całym dniu biegania, pokładali się w jednym szalasie — na podściółce z pociętych drobno gałązek świerkowych, którą tam „cetyna“ nazywają — i nakryli się derkami. Pierwszy zasnął naturalnie Wawruś — bo był przyzwyczajony do spania na ziemi. Chłopcom szło to trudniej — a już najdłużej nie mógł zasnąć Wiktus — bo był taki delikatny. Przewracał się biedaczysko z boku na bok. Było twardo — cetyna trochę kłula nawet przez ubranie — z sąsiedniego szalasu, który dotykał ściany dochodził ciągle tupot owiec i pobekiwanie. A już najgorzej dokuczał dym z ognia, który na zewnątrz palił sobie niedaleko bacia.

Zdołał się jednak już Wiktus dobrze zdrzemnąć — gdy nagle obudził go jakiś szmer w szalasie. Podniósł głowę — nad słuchując i zaraz się zakaszłał, tak go dym zapiekł w gardle. Na posłaniu Wawrzusia

coś czarnego się rusza. Jakby Ktoś młotką machał — to tu, to tam. Dym włoży się smugami po szalasię — a to czarne szarpie się i szamocą. Nagle poznał Wiktuś, że to Cornula skacze — zaśmiał się i zawołał na nią. Skoczyła ku niemu poprzez tamtych i dalejże bawić się z nim w najlepsze. To szarpie za rękaw, to za derkę ząbkami, to chowa się i znowu wyskakuje i nie nie pomaga układanie jej do snu pod błuzką — piszczy tylko czasem i niespokojnie biega. Nie wiedział już Wiktuś co z nią robić — gdy wyrwała mu się z wielkim piskiem skoczyła znowu na Wawrzka, Ten skok obudził go. Zerwał się, przecierając oczy. Ale wtedy Wiktuś już spostrzegł, że w szalasię jest jakoś za jasno, choć dym coraz bardziej gryzie. A Wawrzek, jak to góral — doświadczony — skoczył — chłopców z derkami ściągnął z postania — wiewiórkę za

pazuchę wsadził — pchnął drzwi i jednego za drugim za drzwi! Stanęli ogólnie patrzeć — a tu już daszek ich szalasu pali się w jednym rogu. — A Wawrzek zniknął. Usłyszeli jeno jakiś krzyk — a już koto nich zjawiał się jak duch stary bacia i Wawrzek — i już z wiader, skądś przyniesionych chlusiła woda raz — i drugi na dach! — Jeszcze chwilka i z mokrego daszka snuje się już tylko ostatnia smuga silnego dymu.

Odetchnęli chłopcy z ulgą i przysiedli pod świerkiem, drząc z chłodu i trochę z przestachu czekając, aż się dym z szalasu rozejdzie.

Przeżegnał się stary bacia, dziękując Bogu — że owce ocalały — choć on był taki nieuważny i ognia dobrze nie zagasił. Wawrzek zaś przysiadł przy chłopcach i gładkał z wdzięcznością Cornulę — że ich tak „pięknie poratowała“.

Ciocia Jania



Śnieg

Cichutko na polach legł,

Pokrył las . . .

Głęboko, aż po pas

Zatonęły w nim małe
świeczki pachnące...

Nad nim — milczące niebo,

I gwiazdy — wysoko — drzące —

I cisza tej jasnej nocy...

Trwożyć się? lękać?

Przyzywać gwiazdnej pomocy?

Wszystko jest ciszą i snem:

Biała, wąska ścieżka wśród drzew,

I przykucnięty krzew,

I sosny wysmukły pień,

I tamten na śniegu — taki ostry — cień...

Wszystko jest oszroniałą

Baśnią śnieżyście — białą.

Baśnią tej wczesnej, zimowej

Nocy grudniowej...

Helena Duninówna

Latać!

Na pięknym stalowym ptaku,

W mocnym skórzanym czaku,

Chciałabym z wichrem pędzić w
zawody,

Pokonać wszystkie, wszystkie
przeszkody!

Chciałabym pędem upajać się

mocnym,

Chciałabym później na locie nocnym

Podziwiać blaski gwiazd —

A w dole światła miast.

Chciałabym wzbic się wysoko,

Hen, tam aż gdzieś pod chmury,

I potem na świat daleki

Popatrzeć beztrosko z góry.

Latać, latać i latać!

To wszystko coby mi chciało,

To me marzenia, cel i sny

Tak długo o tym będę myślała,

Aż los je spełni mi...

Mary Piżmowska

Dwa wróbelki

Zima.

Śnieg sypie.

Wiatr dmucha,

Wróble na drzewach świergocą.

Jeden wróbel do drugiego:

Patrz, tam bułka leży,

Trzeba prędko schwycić bułkę,

Pokryje ją śnieżek.

Trzeba szybko schwycić bułkę

I nie czekać długo,

Może się nawinać obcy.

Z niezgrabną usługą.

Pofruniemy, bułka twoja,

Podzielisz się ze mną.

Dziś od rana nic nie jadłem,

A tu już się ściemnia...

Wrona z dala nadleciała,

Dziób rozwarła wielki,

Bułka wronie smakowała,

Cwierkały wróbelki...

Helena Dawidow